

„Nasze boisko...”



*Cudowny obraz Najśw. Maryi Panny
w kościele oo. Dominikanów w Żółtkwi*

„NASZE BOISKO...”



L W Ó W 1938

WYDAWNICTWO OO. DOMINIKANÓW

2

Wydane na prawach manuskryptu.

Z drukarni Dominikańskiej — Lwów.



O duszę Twoją walka wre...

Czy wiesz mój młody przyjacielu, że dzisiaj o duszę Twoją walka wre. Tę walkę rozgrywają o Ciebie dwa światopoglądy: jeden to światopogląd chrześcijański, duchowy, drugi to światopogląd pogański, materialistyczny. Wyznawcy tych dwu obozów, równie gorliwi, równie zapaleni, stają przed Tobą przyjacielu, starają się Ciebie przekonać i szepcą Ci: „Pójdź za mną”. Rodzice, kapłani, religijni wychowawcy, koledzy dobrzy, wskazują Ci świat ducha i nawołują: „Uszlachetniaj swą duszę, — bądź dobrym choć trudno, zwyciężaj złe popędy — służ Bogu choć ciężko, gdyż bohaterstwo i zwycięstwo zdobywa się przez wielki trud”.

Lecz z drugiej strony stają przy Tobie i posłannicy materializmu i bezbożnictwa, ludzie źli, zepsuci, bez charakteru, a raczej z czarnym charakterem, czasami katolicy tylko z imienia, bezbożnicy z przekonania i szepcą Ci kusząco: „Nie wierz w to, co księża uczą — jesteś młody, używaj więc świata — puść cugle swych żądz”.

I powiem Wam przyjaciele młodzi na ucho, że wielu daje się łatwo uwieść tym ludziom z drugiego obozu. Dlaczego? Czyż złó jest czymś lepszym? Czy silniejszym? Nie. Tylko dlatego, że złym to każdy łatwo może się stać, a dobrym nie. Każde ciele można pociągnąć na grubym sznurku. Czyż to nie łatwo być leniwym, krnąbrnym, nieposłusznym, zniewieściałym?

Popatrz się jednak przyjacielu w głąb swojej duszy młodzieńczej; odkryjesz tam nowy świat: świat ideałów, świat wzniosły i szlachetny. Tworzą go pojęcia dobra, piękna, sprawiedliwości i miłości. Gdy porównasz ten świat Twój idealny, ze światem rzeczywistym i z ludźmi, wyczu-

wasz wnet, kto jest coś wart, a kto nic. I to dobrze; bo poznasz fałszywych proroków i łatwo zorientujesz się gdzie prawda. Tam jest prawda gdzie jest umiłowanie i cześć dla Najwyższej Istoty — Boga, tam jest prawda, gdzie jest szacunek i miłość ludzkości, tam jest prawda, gdzie jest szczęście i pokój. Za tę prawdę przyjacielu, nie wahaj się walczyć, a nawet gdy trzeba będzie — życie oddaj.

O. J. M.

M A T K A !

*Wiesz ty, co znaczy słowo święte „Matka“ ?
Cóż za pytanie ? ! Oczywiście ! Przecie
To ta mamuśka, przy której, jak z płotka
Płynię nam życie w naszym, małym świecie.*

*To towarzyszka ta codzienna nasza,
Która nas pieści, ochrania i chwali,
Nieraz od kary u ojca wyprasza
I czuwa stale — z bliska, czy z oddali.*

*To ta „najswojsza“, która tak rozumie
Radości nasze i troski i grzechy,
To ta, co radę zawsze znaleźć umie,
Słówek zachęty i balsam pociechy...*

*Nikt już na świecie tak ci nie przebaczy
Win twych na zawsze... z serca... do ostatka...
Choćbyś jej serce pogrążył w rozpacz,
Jak to gotowa zawsze czynić Matka...*

*Matka — to noce długie, nieprzespane
Nad twą kotyską, gdzieś był tak bezpieczny,
To łzy z jej oczu tajemnie wylane,
Gdy byłeś krnąbrny, leniwy, niegrzeczny...*

*Matka — to błogość rodzinnego domu,
To jasność lampy, co nad stołem świeci,
To kącik własny wśród świata ogromu,
To szept modlitwy, co do Boga leci !*

*Serce oddane i do śmierci wierne,
Co nad przepaścią ci legnie, jak kładka,
Skarby dzieciństwa twójego bezcenne. —
To wszystko razem znaczy słowo „Matka“ !*

Tomczyk J. kl. III b

Cudowny obraz M. Boskiej w kościele oo. Dominikanów w Żółkwi.

W kościele oo. Dominikanów w Żółkwi, który w r. 1655 fundowała Teofila Sobieska, jako pomnik grobowy dla syna swego Marka, znajduje się skarb wielki — obraz Matki Boskiej Różańcowej, cudami i łaskami słynący. Postać M. Boskiej Niepokalanie Poczętej, z Dzieciątkiem na ręku, tchnie powagą i majestatem, ale zarazem napawa jakąś wielką ufnością i spokojem. Twarz Bogarodzicy przepiękna. Wielkie czarne oczy patrzą ci w głąb serca, badawcze a litościwe. Płaszcz błękitny, szata pąsowa, w dłoni berło. Dzieciątko Jezus, trzyma w ręku swym kulę ziemską z krzyżem. Twórcy obrazu ani daty namalowania nie znamy. Pewnym jest rok 1655. W tym bowiem roku, Dominikanie żółkiewscy, posyłają o. Jana Humienieckiego do obozu króla Jana Kazimierza, wraz z cudownym obrazem N. M. Panny. Odtąd obraz ten przez 13 lat znajduje się w obozach króla, i tak, jak obecnie na nas, tak tymi samymi oczyma patrzyła Matka Miłosierdzia na klęski „potopu“. Spełniła cud Jasnej Góry i stała się natchnieniem Janowi Kazimierzowi, do niesłyszanego w innych dziejach aktu ofiarowania Sobie korony polskiej i ślubów królewskich we lwowskiej katedrze. O. Jan Humieniecki „przy tym obrazie szerzy nabożeństwo różańcowe“, stąd więc wynika nazwa obrazu Matki Boskiej Różańcowej.

Koronacja Cudownego, obrazu Matki Boskiej Różańcowej odbyła się 6 października 1929 r., z woli Ojca św. Piusa XI. Dnia 1. X. rozpoczęły się uroczystości koronacyjne procesją, celebrowaną przez ks. Ożgę, dziekana Żółkiewskiego, w której przeniesiono obraz Cudowny z ołtarza bocznego i umieszczono na tronie, na wielkim ołtarzu. Wstępnym kazaniem powitał Najśw. Maryję Pannę, jako „Królowę serca“, twórca uroczystości, przeor konwentu, o. Konstanty Żukiewicz.

W następnych dniach odbyły się nabożeństwa różańcowe z kazaniami, o królowaniu Maryi. Trzeciego października przybył ks. biskup Kubicki z Sandomierza i w dniu następnym celebrował pontyfikalną sumę, udzielał Sakramentu Bierzmowania, a natchnionym słowem porywał do gorętszego umiłowania Najśw. Panny. Zawitał dzień 6 października. Od samego rana ciągnęły tłumy wiernych czcicieli N. P. ku Jej ołtarzowi. Bicie dzwonów mieszało się ze śpiewem tysięcy piersi. „Serdeczna Matko“ brzmiała pieśń i płynęła echem radości do tronu Królowej. Procesję poprzedzało wojsko i organizacje. Dalej ciągnęły szeregi zakonnic, księży i różnobarwne zastępy duchowieństwa zakonnego. W złocistym słońcu błyszczały mitry i pastorały ksks. infułatów Zajchowskiego i Czajkowskiego, Ich EE. biskupów Kubickiego i Wałęgi, ks. arcybiskupa Teodorowicza, za którym postępował konsekrator J. E. Metropolita Twardowski. OO. Dominikanie nieśli na pąsowych poduszkach korony do koronacyjnego ołtarza, gdzie umieszczono Cudowny obraz. Po odczytaniu „aktu koronacyjnego“ przez o. Konstantego Żukiewicza, odbyło się poświęcenie koron przez J. E. Ks. Metropolitę Twardowskiego, a następnie włożenie ich na skronie P. Jezusa i Bogarodzicy. Następnie odbyła się suma, odprawiona przez J. E. Metrop. Twardowskiego, z kazaniem J. E. ks. arcybiskupa Teodorowicza. Po Mszy św. biskupi, ujawszy obraz, udzielili błogosławieństwa miastu i Polsce i znowu w uroczystej procesji Dominikanie wnieśli obraz Królowej Polski i Królowej Zakonu Dominikańskiego do swej świątyni, aby tu przyjmowała swoich poddanych, lud swój wierny, aby stąd promieniowała swoją dobrocią i łaskawością, aby stąd zsyłała promienie swych łask. Wota zaś niezliczone i wdzięczne modlitwy wiernych świadczą, że nam króluje i wysłuchuje tych, „co z ufnością do Niej się uciekają“.

Szary Anioł

(na Święto Matki).

Choć nie ma nad głową swoją aureoli, ani blasków tęczowych, to jednak aureolę tę ma w sercu i w oczach i jest aniołem, szarym aniołem — to matka. Rozważmy dlaczego?

Pierwsze, co dziecko widzi, to oczy matki ciepłe, dobre, przejasne, które wpatrują się weń z miłością, które śledzą z radością tę wzrastającą roślinę; i cieszą się swoją pociechą. Matka pracuje dla dziecka, i wszystko mu poświęca — całą swoją siłę, całą swoją energię i zdrowie, byle dziecku zapewnić los, wyżywić, ubrać i wychować. Stąd też niejedna nieprzespana noc i chwila troski niejedna i zmarszczki na czole. Matka znosi to wszystko — tyle gorzkich, przykrych słów, tyle trudów i cierpień, a znosi dlatego, że wie, że ją siła nad wszystko mocniejsza i potężniejsza — miłość.

Ten szary anioł życia naszego, potrafi potęgą swojej miłości ozłocić życie dziecka, obsypać je błogosławieństwem i szczęściem. Potęgą cierpienia swego, potrafi złamać wszelkie przeszkody. Dziwne to serce matki. Stworzył je Bóg czułe i miłujące — bez granic. Bo gdy niewdzięczne dziecko, niepomne na nic, odejdzie od swego ziemskiego anioła, szukając lepszej doli i lepszego serca niż matczyne, wtedy po steranej twarzy szarego anioła płyną krwawe, gorące, gorzkie łzy, a łzy te przecinają szczęście dziecka i spadają w jego serce, jako skarga i wyrzut. A łzy te odbierają mu pokój i gaszą szczęście. Matczyne krwawe łzy... Nie zginie jednak dziecko, bo matka, chociaż z daleka, czuwa nad nim. Ten szary anioł zapomina, że płakał, że cierpiał przez dziecko, zapomina, a płacze za utraconym szczęściem nie swoim, nie zna go poza szczęściem dziecka swego, nie chce innego szczęścia poza szczęściem dziecka swego.

Znacie św. Augustyna. Przedstawiają go z sercem w wyciągniętej prawicy, z sercem gorejącym, podniesionym ku niebu; ale to, że on gorzał miłością Bożą i że został świę-

tym, zawdzięcza matce swojej Monice, która łzami i modlitwami nieustannymi wyciągnęła go z bagna zepsucia i niewiary...

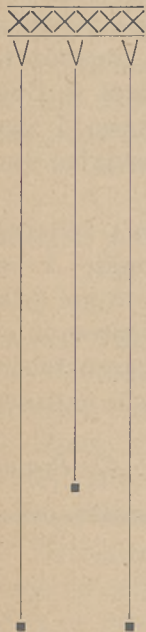
Te łzy matczyne — jak mówi piękna legenda — anioły Boże zbierają i rozrzucają je znowu w zorzach porannych i blaskach tęczy...

Dziwne jest to serce matki, przeogromne w miłość, przedziwne w swym przebaczeniu i miłosierdziu. Dziecko ocenia dopiero to serce, gdy ono ustanie już bić — wtedy dopiero poznaje, że braknie mu jedynej ostoji i podpory w życiu.

Ale jednak i spoza grobu, nie opuszcza nas matka nasza. Wspomnienie o niej dodaje nam siły i otuchy. Kiedy nas ogarnie zwątpienie, a złe moce chcą nas wciągnąć w swe szpony, wówczas to staje nam przed oczyma matka i brzmia w uszach naszych jej słowa i pytamy się: „co by na to wszystko powiedziała matka moja, jakby uczyniła“ i czynimy tak, jak ona by uczyniła. Miłość matki przeszła więc za grób. Może jej serce znajduje się w duszy dziecka? Może jej miłość jakimś prawem przedziwnej łączności i podobieństwa ogarnia swe dziecko i spoza świata doczesnego? Tak! Matka nawet w wieczności jest matką i u stóp Bożych tak jak codziennie kiedyś na ziemi, ciągle pamięta o dziecku. Znany poeta Klemens Brentano, chociaż był przez pobożną matkę, religijnie wychowany, w późniejszym życiu zeszedł z drogi wiary. Zapłacił to spokojem swego serca i stracił ciche szczęście, jakie znaleźć może tylko człowiek żyjący w zgodzie z Bogiem. Jak sam opowiada, pewnej nocy, gdy nie mógł zasnąć, a smutek go przygniatał, rozmyślał, czy nie ma gdzie dla niego ratunku na te smutne cierpienia. Naraz — przyszła mu na myśl matka, która w czasach jego dzieciństwa często siadywała przy jego łóżeczku, szepcząc nad nim „Zdrowaś Maryjo“. Wzruszony tym wspomnieniem, próbował odmawiać tę piękną modlitwę matczyną, modlitwę jasnych, dziecięcych dni. I naraz stopniał lód jego serca — i to było początkiem

jego nawrócenia. Sam się później przyznał, że to była dla niego „ostatnia deska ratunku“.

Dziwna ta miłość matki i poświęcenie. Przypomina a raczej jest odblaskiem tej wielkiej miłości, którą sam Bóg ma ku swoim stworzeniom, przypomina nam także tę



„Czcij ojca i matkę swoją“!

wielką miłość, jaką Matka Boska ma ku wszystkim swoim dzieciom, a szczególnie ku matkom. Jest Ona ich, że tak powiem „wybitną“ patronką i orędowniczką. Jakiś dziwny związek istnieje między tymi dwiema istotami, dla każdego człowieka najdroższymi, jakaś tajemnicza umowa i sprzyśiężenie. Umowa aby zbawić dziecko. „Moje — powiada matka ziemiska — ale i Twoje Maryjo — bom Ci je ofiarowała jeszcze w zaraniu życia jego, ale i Twoje, boś Sama

pod krzyżem wzięła wszystkie dzieci ludzkie pod Swą opiekę i obronę“. Maryja zobowiązanie mile przyjmuje i chętnym sercem pełna miłości wypełnia.

Szczęśliwa matka, która ma taką pomoc w wychowaniu swoich dzieci, chociażby ich miała wiele, potrafi je ubrać, wyżywić, wychować, uchronić i zbawić. Pomaga jej Matka Najświętsza i wraz z Nią i pod Jej łaskawym okiem matka ziemiska nabiera do swego serca niespożytej miłości, nadprzyrodzonej; a kochając swe dzieci w Bogu i dla Boga, wszystko zniesie, wszystko przetrwa i zwycięży. Zwycięży miłością i poświęceniem. A zbawiając swoje dzieci — zbawi duszę swoją.

Matki, bądźcie dumne ze swego szczytnego i świętego posłannictwa i ze swojej przepotężnej Patronki. A my młodzi przyjaciele, otoczmy czią matki nasze i to nie tylko w tym Dniu Matki, ale zawsze. Bądźmy dla nich promykiem jasnym co rozwesela, rozweselajmy je posłuszeństwem; bądźmy dla nich podporą i pociechą. Otoczmy je miłością głęboką i czią.

O. Prefekt

Polskie wesele na Bukowinie.

Nie pamiętam com wtedy robił, wiem tylko, że było to w sobotę po południu. Gdzieś z potoka i z drogi, dochodził mię wrzask bawiących się dzieci. Naraz, może na sekundę, wszystko ucichło. Wtedy to usłyszałem krzyk:

— Dziwojcie się, drużbowie idum!

Wyrzależ przez okno. Po chwili, na zakręcie, pokazali się dwaj młodzi parobcy. Oni to byli tymi drużbami, a poznać ich było łatwo po bukietach. Mieli na sobie czarne ubrania, w rękach laski. Na kapeluszach i marynarkach widniały bukiety, robione zazwyczaj z mirtu i drobnych różnokolorowych kwiatków (w zimie sztucznych). Z bukietu na marynarce zwisały długie wstążki. Nawet laski były przystrojone takimi bukietami, tylko małutkimi. Koło

naszego domu drużbowie przystanęli, coś poszeptali i jeden z nich skręcił do nas, drugi poszedł dalej. Ten, który skręcił do nas, poważnym krokiem przeszedł przez podwórze, zapukał do drzwi, wszedł.

— Pochwaluny Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— Kazali was zwać swadziebni ojcowie (rodzice młodych), młodzi panowie, abyście nimi nie gardzili, na wie siele prichodzili. Na niedziele na rano do młodego i młodyj, po południu do młodego tak was piknie prosili i my was prosime, prichodźcie, jak wasza łaska.

— Pewnie, iże prideme — odpowiedzieliśmy z bratem.

— A nie banujcie (nie gniewajcie się), iże was goriołkum nie poczynstujem, ale mi zabrakło — dodał.

— Nie, nie! My i tak nie pijeme.

— No to bywojcie zdrowi. Treja mi iść, bo eszcze dwacać (20) chałup mum popytać.

— Chodź zdrowy.

Spieszył się, więc poszedł. Patrzyłem długo za nim, bo chciałem wiedzieć kogo z sąsiadów jeszcze zaprosi. Dawniej żadnej chaty nie opuszczano, dzisiaj zaprasza się tylko bliższą rodzinę młodego państwa.

Rankiem, następnego dnia poszedłem najpierw do młodego (wesele tutejsze składa się, rano przed ślubem z przyjęcia u młodego a później u młodej, po ślubie z obiadu i tańców). Było tu już trochę ludzi i orkiestra (dęta). Izby opróżnione ze wszelkiego sprzętu były ozdobione wieńcami. Wzdłuż ścian rozciągały się stoły nakryte białym płótnem, a obok nich ławy. Drużbowie wnosili chleby, bułki, garnuszki, szklanki i ustawiali to wszystko na stołach. Pojawiła się też wkrótce wódka, oraz kieliszki. Potem do garnuszków nalali kawy, a kiedy wszystko było ukończone poszli po młodego. Wprowadzili go przy dźwiękach marsza. Za młodym postępowali rodzice, rodzeństwo i „stariszy“ (starosta) ze starościną. Młody ubrany był jak drużbowie, tylko ubranie miał nowe, bukiety okazalsze, wstążki dłuższe. W jego imieniu przemówił do gości „stariszy“, za-

prasząc ich do zajęcia miejsc, poczem zmówił głośno ze wszystkimi krótką modlitwę i goście zasiedli do jedzenia. W czasie śniadania orkiestra nie grała, więc zebrani mogli swobodnie rozmawiać. Starsi wychwalali młodego, „swadziebnych“ i przyjęcie, młodszy rozprawiali o najbliższych weselach. „Stariszy“ chodził od stołu do stołu, pilnował, aby gościom jedzenia nie zabrakło. Prócz niego i drużbów nie jadł jeszcze młody pan. Siedział wprawdzie na pierwszym miejscu, ale on dobrze rozumiał, że nie od takiej uczty, lecz od uczty w kościele należy rozpocząć mu nową drogę życia. Przed nim leżały tylko dwa chleby z solą, którymi ojciec i matka pobłogosławią go i pożegnają przed wyruszeniem do młodej. Drużbowie czynili już przygotowania na tę chwilę, a jemu jakoś niesporo było do niej. Wiedział, że odtąd czekają go nowe troski i pracy huk, a rodzice niewiele mu pomogą, bo mają jeszcze troje dzieci i im muszą być zabezpieczyć. Dostanie wprawdzie krowę i swoją część ziemi i trochę innego dobytku, młoda żona też mu wiano niegorsze przyniesie, ale wyraźnie czuł, że wolałby dalej żyć z rodzicami jak dotąd, z nimi się weselić, smucić, z nimi pracować. Pod wpływem takich myśli przyszłość wydawała mu się dość trudną, więc sam spochmurniał. Dalsze rozmyślenia przerwał mu ruch w izbie. To goście stawali od stołu. Młody pan powstał także, a kiedy rodzice zasiedli na krzesłach ustawionych na środku izby, ukląkł przed nimi. Miała nastąpić teraz owa chwila pożegnania. Twarze wszystkich spoważniały. Młody zaczął:

— Prosim was tatku, was mamko, was bracia, was sumsiadzi bliscy i dalecy i was ludzie dobri, abyście mi odpuścili, coch wum kiedy zawinił abo złym słowem naruszył.

— Naj ci Pan Bóg odpuści — odpowiedzieli zebrani.

Słowa powyższe powtarzał jeszcze dwa razy, potem całował ojcu i matce ręce, kolana i stopy, oni zaś uroczyście błogosławili go chlebem i solą. Matce puściły się przy tym obficie łzy, więc oddawszy chleb czym prędzej

wzięła syna w objęcia i tak trzymała długą chwilę. Ojciec nie pokazał po sobie żalu, uściśnął tylko syna, on go w rękę pocałował. Żegnał się też z braćmi, z rodziną, no i z towarzyszami, z którymi już nie będzie się odtąd zabawiał wieczorami. Ci ostatni zaśpiewali mu, kiedy wychodził z domu:

Wiesiele, wiesiele, po wiesielu smutek.

Usz sie num ożynił sumsiadów kohutek.

Na podwórzu wszyscy ustawili się w pochód: młody pomiędzy družbami i „stariszowie“ na przodzie, dalej orkiestra i goście.

— Z Bogiem do młodyj! zakomenderował starosta, i pochód ruszył.

W tym samym czasie u młodej panował także ruch, bo i tutaj zeszła się rodzina i sąsiedzi i tutaj przygotowywano się na przyjęcie. W osobnym pokoiku družki i przyjaciółki ubierały młodą, nucąc przy tym:

Ej, usz ci je dziweczko, ej usz ci je darmo,
ej, usz ci zakładajum na głowiczkę jarmo.

To znowu:

Za naszym stodołkum studzinka priebiro,
Usz sie num Maryjka do ślubu wybiro.

Kiedy nadciągnął orszak z młodym, wszyscy wyszli na powitanie na podwórze. Tylko młoda powitała przyszłego męża na progu domu, po czym on podał jej ramię i prowadził wśród wesołych okrzyków družbów do stołu na pierwsze miejsce. Družki tymczasem przypinały każdemu małe bukietiki, a „stariszowie“ prosili od razu na śniadanie. Po śniadaniu, młoda z płaczem żegnała się po trzykroć, zresztą tak samo jak i młody, z rodziną. Ojciec i matka błogosławili ją chlebem i solą, a młodzież w odpowiedniej chwili zaśpiewała:

Szumiała leszczyna, gdy się rozwijała,
Płakała dziewczyna, gdy się wydawała.
Szumiała leszczyna, eszcze szumieć bydzie,
Płakała dziewczyna, eszcze płakać bydzie.

W drodze do kościoła na ślub, młoda szła pierwsza pomiędzy družbami, za nią młody z družkami, „stariszowie“, orkiestra i goście.

Za naszym stodołkum studzinka pribrała,

Usz sie num Maryjka do ślubu wybrała.

„Stoły“ (obiad) rozpoczęły się po drugiej i trwały do piątej. Brali w nich udział tylko gazdowie i gaździny. Dużo z nich poprzynosiło młodej podarunki ślubne, szczególnie z naczyń stołowych. Ta część wesela była już naprawdę wesoła. Po godzinie piątej powynoszono stoły i zaczęły się tańce. Z początku tańczyli sami biesadnicy, rodzice młodej pary i „stariszowie“; rychło jednak zesła się młodzież gromadnie i ta zabawiała się prawie że do rana.

Tak odbywało i odbywa się wesele w Poiana Micului na Bukowinie.

S. J. kl. IV „bukowińczyk“

Działalność misyjna Polski.

Polska, po przyjęciu chrześcijaństwa (966) staje się najdalej wysuniętą placówką wiary Chrystusowej na wschodzie. Przed nią stoi wielkie zadanie: nawrócenie otaczających ją szczepów pogańskich: Prusów, Pomorzan, Litwy i Rusi. Mieszko I pomimo pracy misyjnej we własnym kraju, popiera plany misyjne na zewnątrz. Przez związki małżeńskie swej siostry i córki współdziała w nawróceniu Węgier, Szwecji i Danii. Następca jego Bolesław Chrobry, niemniej działa na tym polu. Popiera gorliwie prace św. Wojciecha w Prusach, a kiedy ten umiera śmiercią męczeńską, zakłada nawet biskupstwo w Kołobrzegu (bp Reinbern), dla nawracania Pomorzan, Prusów i Jadźwingów. Zamyślał on nawrócić także niektóre szczepy pogańskie w zdobytej przez siebie Rusi. Po jego śmierci dzieło misyjne upada. Na powód złożyły się zamieszki wewnętrzne. Od nowa więc zaczyna pracę Bolesław Krzywousty, w sto lat później.

Organizuje on okazałą wyprawę misyjną pod przewodnictwem św. Ottona, który od roku 1124 do 1128 nawraca Pomorze tworząc z niego osobne biskupstwo.

Prusy przyjmują wiarę katolicką w XIII w., kiedy to przerwana pracę Benedyktynów-eremitów podejmują Cystrzy, później Dominikanie. Pomaga im społeczeństwo polskie, z arcybiskupem gnieźnieńskim, Henrykiem Kietliczem, na czele, mianowanym przez papieża Honoriusza III legatem dla Prus. Mimo oporu wielkiego stawianego przez pogańskich Prusów, praca postępuje ciągle naprzód. Sprowadzenie Zakonu Krzyżackiego, przez Konrada Mazowieckiego, miało tę pracę ułatwić. Później się okazało, że Krzyżacy ją tylko utrudniali, bo okrucieństwem zniechęcili ludność pruską do siebie, która nie chciała przyjmować chrztu, a gdy go przyjmowała to tylko z rąk księży polskich. Zakon Niemiecki zgermanizował jedynie ludność już chrześcijańską. Po nawróceniu Pomorzan i Prusów, jedynie Wschód pozostał jeszcze bądź to pogańskim, bądź też schizmatyckim. Ale i misjonarzy ma teraz Polska więcej, którzy zwracają się równocześnie na Ruś, Litwę i Jaćwież. Misjonarzami tyjni to Dominikanie, których prowadzi św. Jacek, a później Franciszkanie. Św. Jacek zakłada w Kijowie klasztor, a choć musi go opuścić przed nawałą tatarską, przecież praca na tym polu nie ustaje. Powstaje nawet wśród Dominikanów stowarzyszenie „Braci Pielgrzymujących“, których działalność obejmuje Wschód.

W tym samym czasie Jaćwież i Litwa otrzymują biskupstwa, na czele których stają Henryk i bł. Wit, obaj dominikanie. Szczególnie na Litwie chrześcijaństwo szybko się szerzy i sam książę Mendoğ przyjmuje chrzest. Po śmierci Mendoğa zaczęli wciskać się tam Krzyżacy, którzy tak sobie zrazili i Litwinów i Żmudzinów, że ci w obronie przed utratą wolności politycznej, nawet słyszeć nie chcieli o chrześcijaństwie. Dopiero po unii z Polską w 1386 r., kiedy Jagiełło zapewnił im niepodległość, przyjęli chrzest ochotnie. Żmudź, która specjalnie nienawidziła chrześcijaństwa, z powodu okrucieństwa Zakonu Niemieckiego,

została ochrzczona w 30 lat później, przez arcybiskupa lwowskiego Jana i biskupa wileńskiego Piotra. Tak to Polska otrzymane światło wiary, przekazała pogańskim sąsiadom.

Odkrycie Ameryki dało początek nowej erze w dziejach misyj. Polska nie brała w nich udziału, zajęta tępieniem herezji u siebie i sprawą połączenia kościoła wschodniego z zachodnim. Po rozbiorach Polski nastąpiło zupełne zahamowanie pracy misyjnej. Państwa zaborcze kasacją klasztorów albo wysiedlaniem spowodowały to, że i w Polsce zabrakło kapłanów. Tylko nieliczne jednostki wyjeżdżały do krajów zagranicznych na misje. Poza tym należy wymienić pracę polskich kapłanów na Syberii i w Turkiestanie.

Przy pracy misyjnej przybywa Polaków w XIX i XX wieku, zwłaszcza z nowopowstałych kongregacyj: Salezjanów, Verbi Divini, Pallotynów, Oblatów i innych. Z grona misjonarzy zasługami wyróżniają się arcybiskup Zalewski († 1925), który od 1892-1902 był delegatem apostolskim w Indiach, o. Stanisław Królikowski († 1923), prefekt apostolski Namaqualandu. W r. 1894 hr. Ledóchowska zakłada Sodalicję św. Piotra Klawera dla współpracy w misjach afrykańskich. W r. 1912 oo. Jezuici z Małopolski otrzymują południowo-zach. część Rodezji w Afryce pd. jako teren misyjny.

Oprócz tej misyjnej pracy, Polska była „Przedmurzem Chrześcijaństwa“, broniąc Europy przed napadami Tatarów, a później Turków. Lignica, Cecora i Wiedeń aż nadto świadczą o tym. I dziś spełnia Polska to samo zadanie, broniąc kultury zachodniej i chrześcijaństwa przed zalewem bolszewizmu. Mamy jednak niezłomną nadzieję, że Bóg otworzy kiedyś granice państwa rosyjskiego dla polskich katolickich misjonarzy i pozwoli nam spełnić jeszcze jedną wielką misję dziejową — nawrócenia Rosji.

Obecny stan polskich misyj katolickich :

Najstarszą polską placówką misyjną to prefektura apostolska Broken-Hill w Rodezji Północnej (Afryka pd.),

którą zarządzają księża Jezuici. Placówka ta obchodziła w zeszłym roku podwójny jubileusz: 25-lecie założenia i 10-lecie wyniesienia do godności prefektury apostolskiej. Pierwszym prefektem apostolskim czyli biskupem misyjnym jest ks. Bruno Wolnik T. J. Drugą prefekturą apostolską, to Szuntenfu w Chinach, na południe od Pekinu; na czele jej stoi ks. Ignacy Krauze, ze Zgromadzenia Księżów Misjonarzy. Tam też pracuje znany ze swej działalności lekarskiej ks. dr Szuniewicz, były docent Uniwersytetu Stefana Batorego.

Samodzielną placówkę misyjną, obejmującą cały południowy Sachalin, po japońsku Karafuto, posiadają także lwowscy oo. Bernardyni pod kierownictwem o. Paulina Wilczyńskiego. Stolicą tej placówki, mającej być niebawem przemianowaną w prefekturę apostolską, jest miasto Tayohara. OO. Bernardyni otaczają swą opieką, tak pod względem religijnym, jak i narodowym licznie na Sachalinie przebywających Polaków. Piękne owoce rokującą placówką misyjną — i to samodzielną — w ręku polskich Księżów Misjonarzy jest w Chinach Wenchow.

Na specjalną wzmiankę zasługuje japoński Niepokalanów oo. Franciszkanów w Nagassaki. Polscy Franciszkanie wydają po japońsku „Rycerza Niepokalanej“, chętnie przez Japończyków czytanego, o czym świadczy miesięczny nakład 60.000 egzemplarzy.

W ubiegłym roku wyruszyło do Chin trzech Dominikanów z o. Sadokiem Maćkowiakiem jako przełożonym na czele. W prowincji Seczuan w pobliżu Tybetu, 2500 km na zachód od Szanghaju, mają oo. Dominikanie wiarę świętą szerzyć wśród Chińczyków.

W obu prefekturach apostolskich i samodzielnych placówkach misyjnych jest czynnych: 62 księży, 75 braci i 45 sióstr misyjnych, razem 182 osoby. Na innych misjach pracuje około 200 misjonarzy polskich i 200 polskich sióstr zakonnych. Cały personel misyjny, jakiego Polska w tych kilku latach niepodległości dostarczyła misjom, wynosi razem blisko 600 osób.

Polska odrodzona, jak widzimy, natychmiast po uzyskaniu wolności podjęła się swego dawnego zadania, nawracania pogan, pomna, że „zaciągnęliśmy wobec Opatrzności obowiązek wywdzięczenia się za dobrodziejstwa chrztu i cywilizacji przez udział w głoszeniu Ewangelii innym narodom“. „Przecież tego długu dawna Polska spłacić nie zdążyła, Polska ujarzmiona zaś nie miała do tego możliwości, zaciążył on na Polsce zmartwychwstałej...“ (Ks. Kard. Hlond na Kongresie Międzynarodowym Misyjnym w 1927 r.).

B. J.

List naszego Misjonarza

(z Hong-Kong do Hankow).

Czungking, dnia 24 grudnia 1937.

Zbliża się wieczór wigilijny. Rodacy w Polsce teraz zapalają świece na choince, zasiadają do wieczerzy wigilijnej, dzielą się opłatkiem. Wspominam sobie jak to rok temu byłem u swoich w Żółkwi. A dziś? Dziś jestem oddalony od kraju o przeszło 20.000 kilometrów, na nowej placówce w Chinach, w Chungkingu. Zajechałem tu z Towarzyszami po dwumiesięcznej podróży. Bóg nas szczęśliwie i (jak na dzisiejsze wojenne czasy) szybko, przeprowadził. Tutaj są wszyscy bardzo zdziwieni, żeśmy pomyślnie przejechali tyle niebezpieczeństw a delegat apostołski Mgr. Zanin powiedział nam, że każdy misjonarz ma dwóch Aniołów Stróżów, my zaś Polacy mamy ich aż po czterech, gdyż odbyliśmy podróż szczęśliwie przez teren wojenny z Hong-Kong do Hankow. I teraz podam czytelnikom „N. B.“ kilka szczegółów z tej ciekawej podróży.

W Hong-Kong znaleźliśmy gościnę u swoich, mianowicie w klasztorze dominikanów hiszpańskich. Tu zastał nas list biskupa z Chungkingu, w którym wyrażał obawę czy też dojedziemy, gdyż Japończycy zbombardowali i zniszczyli tor kolejowy. Trzeba czekać. Zwiedzamy olbrzy-

mie miasto i kolegia misyjne. Byliśmy z wizytą u ks. Wiczorka, salezjanina, który tu pracuje.

Coraz groźniejsze wieści nadchodzą z terenu boju. Wreszcie 18 listopada dowiadujemy się, że można jechać. Nazajutrz rano wsiadamy do pociągu i o 8.25 wyruszamy w Imię Boże. Przed nami nieznany kraj, nieznany naród, i nieznana mowa narodu. Przed nami zamieszki i wojna. Żeby tylko jakoś przebyć tę niepewną drogę.

Pociąg rwie przez rozległe pola ryżowe; Chińczycy kończą już żniwa. Niektóre pola są już zalane wodą i przygotowane pod przyszłą uprawę i zasiew.

Nagle na pustym polu staje nasz pociąg, a potem jakby się rozmyślił co ma robić, cofa się całą siłą pary do stacji z której wyjechał. Coś złe z nami. Tymczasem pociąg stoi i stoi, już minęło dwie godziny a my jeszcze czekamy. Chińczycy coś szwargocą, twarze poważne, pełne niepokoju i oczekiwania. Nasz towarzysz podróży, Chińczyk służący z Hong-Kongu, którego nasi ojcowie wysłali z nami, wybiega po wieści. Wreszcie wraca i opowiada posługując się wymownymi gestami, że trzy (na palcach) aeroplany japońskie przyleciały nad tor, i „bum, bum“ (znowu odpowiedni gest) rzucili bomby.

Po trzech godzinach, gdy naprawiano tor, ruszamy dalej. Wszyscy cisną się do okien chcąc zobaczyć ślady pocisków. I rzeczywiście. Za chwilę pociąg zwalnia i widzimy z boku olbrzymie leje, poniszczone w drzazgi progi kolejowe i powykręcane szyny. No, mamy szczęście.

Okolice teraz staje się górzysta. O godz. 3 zajechaliśmy do Kantonu. Tu czekał na nas przez trzy godziny ksiądz-chińczyk wysłany przez ks. biskupa Faurquet. Wleczemy się teraz starą taksówką do pałacu biskupiego. Kościół katedralny monumentalny, wspaniały. Przez ulice przewala się hałaśliwy tłum. Środkiem jezdni terkoczą riksze, tj. wózki jednoosobowe, ciągnięte przez człowieka. Są tu także szyny tramwajowe, ale na tramwaje trzeba będzie czekać jeszcze z 10 lat.

Ks. Biskup przyjmuje nas bardzo mile i wyszukuje nam towarzysza dalszej drogi, Chińczyka-dziennikarza. 21. XI. opuszczamy Kanton. Jedziemy przez okolicę lekko górzystą, nieurodzajną, gołą i monotonną. Na drugi dzień wjeżdżamy w urodzajną dolinę Yantse-Kiang. Robi się dość chłodno. 23. XI. przeprawiamy się przez 2 km Yantse-Kiang, i stajemy w Hankow. Przyjmuje nas miły ks. Delegat Stolicy Apostolskiej, ks. arcybiskup Zanin, ucieszony ogromnie naszym przybyciem.

W Hankow pozostaliśmy kilka dni, czekając na odbiór bagażu, który tymczasem skrupulatnie celnicy rozpakowali i obszukali. Dziwili się oni kto my jesteśmy, że mamy takie drogie tkaniny (ornaty) i cenne naczynia (kielichy) i z początku uważali nas za kupców europejskich i to jeszcze przemysłników. Dopiero księża-chińczycy wytłumaczyli nas przed groźną władzą, a odpowiednio podane dolary tłumaczenie to ułatwiły. Z Hankow jechaliśmy już rzeką i o tej podróży jeszcze napiszę.

Pozdrawiamy wszystkich rodaków i przyjaciół, polecamy się pamięci w modlitwach.

O. Sadok Maćkowiak, dominikanin

Adres:

R. P. dr Sadok Maćkowiak Ord. Praed.

CHUNGKING (Sze)

Catholic Mission

China — Chiny

OD REDAKCJI: Wszelkie opłaty za „N. Boisko“ przeznaczaliśmy na polskie misje dominikańskie w Chinach. Dlatego prosimy o łaskawe składanie ofiar na konto misyjne w P. K. O. Warszawa Nr. 14,525. Polska Misja Dominikańska w Seczuanie.

Kronika Internatu.

Upłynęły prędko ferie zimowe. Dnia 10 stycznia 1938 r. zjechali się wszyscy „goście” do Internatu. Z nowymi zapasami pod każdym względem. Wielu przywiozło narty i łyżwy. Jednak nie skorzystali ze śniegu, bo prędko się stopił.

Dnia 23 i 24 stycznia odegraliśmy Jasełka pt. „Pójdźmy do Betlejem”. Licznie napłynęła publiczność do naszej, niezbyt wielkiej uczelni. Udział w przedstawieniu brali prawie wszyscy wychowankowie. Było kilkunastu diabłów (diabłami byli najpobożniejsi), było kilkunastu aniołów (w spodniach), kilku królów i inne murzyny. Był nawet sufler, który w swej budce dusił się jak „śledź w beczce”. Jasełka odegrane były dobrze. A szczególnie podobała się gra Władcy Piekieł, Stanisława Lucyfera i jednego z aniołów, któremu wzruszenie (stał obok żłóbka) odebrało głos i ani rusz nie mógł zaśpiewać. Po kilku minutach dopiero popłynęła tęskna, rzewna itd.... melodia. Syn jednego z trzech mędrców, który mimo swej mądrości ma kilka „cwajerów”, był starszy od niego. W takie to różne dziwolągi obfitowały tegoroczne Jasełka.

Pierwszy luty. Imieniny P. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego. Młodzież gimnazjalna uczciła dzień ten uroczystą akademią i nabożeństwem w kościele, gdzie gorąco modliła się za zdrowie Dostojnego Solenizanta i za pomyślność Rzeczypospolitej.

Niespodziewanie w połowie lutego spadł śnieg i przywędrował gdzieś z Sybiru mróz. Z tego też powodu radość zapanowała w Internacie. Każdy wyjmował swoje „deski”, czyścił, smarował itd.... itd.... Zresztą jazda na nartach jest bardzo przyjemna. Co dzień prawie część z nas była na Haraju. Czasami chodził też O. Prefekt. Kilka „desek” złamanych, kilka nosów rozbitych, jeden zwichnięty palec,

to plon tegorocznego sezonu narciarskiego. Nikt jednak się tym nie przejmuje i obiecuje sobie, że i na następną zimę (tylko, żeby był śnieg), będzie zażywał tego rozkosznego sportu.

Szesnaście lat minęło 12 lutego, gdy na tron papieski wstąpił wielki przyjaciel Polaków, Pius XI. Żółkiew uczciła tę rocznicę akademią w „Sokole”. Przemówienie miał Ks. prof. Wojciech Rogowski. Następnie chór gimnazjalny odśpiewał kilka pieśni. Przedstawieniem „Walka o dusze” zakończono tę podniosłą i uroczystą akademię.

„Przed tak Wielkim Sakramentem” rozbrzmiewa w kościele oo. Dominikanów. Chrystus ukryty pod postacią chleba spogląda na ludzi, korzających się przed Nim i błogosławi im. 40-godzinne nabożeństwo przed Popielcem. My też oddajemy hołd Chrystusowi Panu w Najświętszym Sakramencie Utajonemu codziennie. Prosimy Go, by raczył nam błogosławić w naszej pracy i w życiu całym.

Tu urywa się nasza przeszłość. Wiosna objęła w swoje posiadanie ziemię. Teraz myślimy o meczu piłki nożnej na Błoniach, o feriach wielkanocnych i innych przyjemnościach.

Julian Z.

„Białe szaleństwo”.

Śnieg sypał bez przerwy. Rtęć w termometrze skurczyła się z zimna i spadła o 12 stopni niżej zera. Byłem z tego wszystkiego strasznie zadowolony. Dziś przecież urządzamy całodzienną wycieczkę narciarską. My! A więc ja i kilku moich kolegów, a właściwie kilku moich kolegów i ja (nie należy swego „ja” wysuwać na pierwsze miejsce). Wszystko miałem już przygotowane na wycieczkę. Buty w rodzaju narciarskich pożyczyłem od kolegi T... Mając tylko jeden

sweter, dwa musiałem pożyczyć od kolegi K... Ale chyba najgorsza sprawa to było wystaranie się o same narty. Żaden z kolegów nie chciał mi pożyczyć tego sprzętu twierdząc, że jestem nowicjuszem (co było zresztą prawdą) w tej gałęzi sportu, mimo, że zapewniałem, iż jestem wytrawnym narciarzem i znam góry, jak własną kieszeń. Nareszcie jeden pożyczył za pewnym wynagrodzeniem pieniężnym, na cały dzień. No!!! Wreszcie mam wszystko, mógłbym nawet pojechać do bieguna północnego, a nic by mi się nie stało. Mróz nie miał do mnie dostępu. Mając na sobie oprócz trzech swetrów, (zresztą pożyczonych) trzy koszule, miałem górną część tułowia zabezpieczoną przed wścibskością mrozu. Twarz wysmarowałem wazeliną, widząc, że robią to tak moi koledzy, którzy chodzą na narty. Chociaż dużo jest takich, którzy nie mają nic wspólnego z nartami, a jednak się wazelinują (?!!!).

Przejdźmy jednak do sedna sprawy. O godzinie dziewiątej zebraliśmy się w parku. Było nas pięciu. Zbyszek, Jurek, Mietek, Tadek, no i ja. Wszyscy wytrawni narciarze, ja też musiałem się chwalić swymi sportowymi wyczynami, inaczej byliby mnie nie wzięli na tę interesującą wycieczkę. Po długich i ciężkich cierpieniach założyłem narty. Czuję się nieswojo. Nie chciałem jednak tego pokazać kolegom. Szedłem za nimi wyężdżając swe siły. Pot spływał mi po twarzy, serce waliło, jak szalone. Szliśmy wciąż pod górę. Śnieg przestał padać. „Hej!” — krzyknąłem — „co wy si tak spieszcyci. Frajery co się tak męczycie“. A wtedy oni jak nie skoczą do mnie: „Ty patałachu jeden. Gdzie tobi iść na wycieczki. Ty nimasz zilonego pojęcia o deskach“. Zamilkłem jak grób. Bałem się poprostu do nich mówić. Wkrótce jednak przeprosili mnie (ze względu na czekoladę, która wyłaziła mi z kieszeni).

Ujechaliśmy już kilkanaście kilometrów. Teraz czekała nas (a właściwie mnie) największa trudność. Trzeba było wydrapać się na dość wysoką i stromą górę, a stamtąd bardzo przyjemny (jak zapewniali mnie koledzy) zjazd. Pomagając sobie rękoma, kijami, a w końcu nogami (zdją-

łem narty) wydostałem się na wierzchołek góry. Ujechałszy jeszcze kilkadziesiąt kroków i oczom moim przedstawił się ów „przyjemny“ (brrr!!) zjazd. Wąska, kręta i stroma ścieżyna leśna. Było mi trochę nieswojo. Rad byłbym na tej górze nie być. Ale cóż robić, drapałeś się „bracie“ godzinę, miej tę przyjemność, że zjedziesz w ciągu kilku minut. „Nima co, trzeba jechać, najwyżyj si zać biji“ pomyślałem w duchu. Przeżegnałem się no i jazda! „Deski“ pędziły z zawrotną szybkością. Trzymałem się kurczowo kijów (sam nie wiem dlaczego). Już! Już koniec tej przeklętej, diabelskiej jazdy. Jeszcze jeden zakręt i wyjadę na szczerze pole. Tam będę się czuł bezpieczniejszy. Jeszcze chwileczka! Wtem! Przede mną pniak! Całym „gązem“ najechałem na niego. Rozległ się trzask... Zaryłem twarzą w śnieg...

Dopiero po chwili wyciągam głowę ze śniegu. Nic mnie jakoś nie boli. Głowa cała, nogi i ręce też. Spojrzałem na narty. O rety!!! Dwie części z jednej „deski“ leżą obok mnie. Ale gdzie druga narta? Ki lichy? Nie ma. Wstałem. Szukam w pobliskich krzakach. Nie ma. Zacząłem wołać na pomoc kolegów. Przyjechali prędko (i nic im się nie stało). Na mój widok parsknęli śmiechem. Moja żałosna mina, rozdarty sweter (zresztą nie mój), złamana narta, to wszystko przyczyna ich śmiechu. Gdy im jeszcze opowiedziałem, że zginęła mi narta, kolega Mietek wybuchnął śmiechem. „Ty patałachu! Pewni ci si deska odczepiła taj pojichała dalij“. — „Nima co“, powiedziałem, „jak znajdę deskę to moja korzyść, a narazi trzeba iść“. Wziąłem na plecy szczątki narty i idę za kolegami, którzy o mnie nawet nie dbają. Rozmawiają wesoło i coraz więcej oddalają się ode mnie. Ja oglądam się wokoło raz poraz. A nuż odnajdę swoją (a właściwie mego kolegi) nartę. Nigdzie jednak jej nie widać. Wielce przygnębiony szedłem w ślad za kolegami, brnąć po kolana w śniegu.

„Zmachalem“ się jak nigdy. Pot spływał po twarzy. Nareszcie! Odetchnąłem z ulgą. Wyszedłem na drogę, która prowadziła do miasta. Szło mi się o wiele lepiej,

rażniej i prędzej. Myślałem jednak, jakie spotka mnie przyjęcie ze strony kolegów (sweter i narty pożyczone). W duchu widziałem ich złowrogie miny...

Cała ta wycieczka kosztowała mnie dość dużo, bo nie mniej, ni więcej jak dwadzieścia złotych (narty i sweter nie moje). Przy tym koledzy przestali mi wierzyć, że jestem dobrym narciarzem. Jazda na nartach, to naprawdę „białe szaleństwo“. Ten tylko kto ma szaloną odwagę, kto szalenie kocha (naturalnie, że jazdę na nartach)... ten tylko może jeździć.

„Zetka“

ZŁOTE MYŚLI

Cichość

Głośniejszy, niż w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie zaraz go usłyszysz. *Mickiewicz.*

Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga :
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga. *Mickiewicz.*

„Szukasz pokoju, oddaj się całym sercem woli Bożej“.
Tomasz a Kempis,

„Skoro Ojcu Najlepsze
Daleś serce swe
Tego pragnąć powinienes
Czego Bóg sam chce“.
W. Pyrek

„Trudniej zawsze cnoty dostać —
niżli wielkim panem zostać“.
Jan Kochanowski

„Prawda jest światłem. Kto prawdę kocha,
kocha światło i chodzi we świetle“.
Św. Augustyn.

Skąd złe

Bóg jest dobrem : więc wszystko, na co duch narzeka,
zło, śmierć i potępienie pochodzą z człowieka. *Mickiewicz.*

Nadzieja

Trzymaj ten sznur, choć fala nad głową szaleje ;
Wybrnąłby szatan, gdyby mógł chwycić nadzieję. *Mickiewicz.*

Nie ten ci żeglarz, co płynie po wodzie
Nie poruszanej nic wiatrem w pogodzie
Ale kto wały, gdy biją najciężej
Wiosłem zwycięży. *Kasper Miaskowski.*

Z kosza redakcyjnego.

Wiwat redakcyjny kosz ! My reporterzy siedzimy teraz nad nim i cieszymy się. Redaktor na przechadzce, a kosz przepełniony najciekawszymi artykułami naszych kolegów. Wprawdzie trzeba te artykuły dowcipnie zlepić klejem stolarskim (redaktor choruje, zdaniem poetów — na zanik uczucia, a zdaniem nowelistów — na wątrobę) my jednak szukamy w koszu z ciekawością, gdyż mieści się tu wiele natchnienia i sensacji.

I rzeczywiście. Najpierw wpadły nam genialne urywki kolegi Ł. Brał on udział w konkursie poetów na temat: „Życie w Internacie“. Cytujemy wyjątki:

„Chodzące są tu mądrości...
Nie ma tyle w drzewie sęków
Wiele tutaj jest talentów :
Jeden narciarz jest wybrany,
Drugi piłkarz rozhukany,
Trzeci się „wazelinuje“,
Czwarty pisze, co poczuje...”

Tym czwartym to pewnie jest nasz kochany wierszotwórca. Przygotowuje on obecnie, jak się dowiadujemy, do druku, kilka tomów swoich poezyj pt. „Wonie“. Radzimy mu jednak, żeby ich nie pokazywał naczelnemu redaktorowi.

Drugi „fe-nomen“ to poezja kolegi L. P. z tego samego konkursu. Oto cudowne rymy :

„...Starsi chłopcy rażno grali,
Młodszy im przytakiwali.
Jeden w grzebień silno dmucha :
Ile mu wystarczy ducha“.

Coś jak Wojski w „Panu Tadeuszu“.

„Každy jest już tak wesoly,
Jakby go skąsały pszczoły,
Lecz zabawy koniec już
Wtem dochodzi mnie do usz...”

Przedziwne swoje rymy autor wylał na cierpliwy papier, w liczbie 23 zwrotek, a przyjął je niemniej cierpliwy — kosz redakcyjny.

I jeszcze są w koszu rymy. To wszystko narobił ten konkurs. Nawet sympatyczny kolega B., wziął się na starość do poezji, oto ona :

„A do kina — gadać szkoda !
 Więc nastąpiła nowa moda,
 Ping-pongowe wybijanie,
 Każdy ma paletkę na nie“.

Kosz dzisiejszy cały dyszy poezją i to najnowszą. Przepiękne jamby, prześliczne ody. Drży w nich wiosna i radość, ale „uczuciem górującym (tak się wyraził naczelny redaktor, który wróciwszy z przechadzki wyrzucał nas za drzwi) jest niesłychany brak zdolności umysłowych“. Poza tym został skonfiskowany przez cenzurę zakładową artykuł pod tytułem „Dziwolaży antropologiczne“, od słów „w niektórych klasach...“ do słów „...są bałwany“.

Szkoda, że nie możemy umieścić tych ciekawych utworów w całości. Są one bardzo pouczające, bo właściwie, prawdziwe oblicze każdego pisarza mieści się w cenzurze i w koszu...



Rozrywki umysłowe

ZAGADKA 1.

(uł. A. Wielki)

1.	N	O	M	I	N	A	C	Y	O
2.									
3.									
4.									
5.	O	B	R	A	Z				
6.									
7.	O	P	A	T					
8.	I	N	S	T	Y	T	U	T	
9.									
10.									
11.	O	K	O	N	E	C			

Znaczenie wyrazów:

1. Nadanie władzy.
2. Gaz.
3. Wyspa na Oceanie Indyjskim.
4. Inaczej poseł.
5. Płótno w ramach.
6. Zwierzę.
7. Przełożony zakonny.
8. Zakład.
9. Prowincja w Chinach.
10. Broń.
11. Przyrząd do pisania.



Początkowe litery dadzą rozwiązanie.

ZAGADKA 2.

(uł. H. I.)

W jaki sposób od dwunastu odjąć siedem, aby reszta wynosiła dwa ?

ROZWIĄZANIA Z Nr-u 7 „NASZEGO BOISKA“

Szarada : litera „r“.

Wizytówka : pisarz.